

Kornel Makuszyński



Rzeczy wesołe

opowiadania

Kornel Makuszyński

Rzeczy wesołe

opowiadania

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce obraz wygenerowany przez fotor-ai

Tekst wg edycji z roku 1922.
Zachowano oryginalną pisownię.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-7639-779-5

ANIOŁ

Bardzo sympatyczny Anioł położył się na chmurze, ręce splótł pod głową i patrzył zadumany w firmament.

Zmęczony był ogromnie, gdyż poprzedniego dnia była niedziela, więc przez cały dzień musiał klęczeć z kadzielnicą, w którą sprytne, małe aniołki dosypywały wciąż bursztynowego złota i najwonnejszych ziół rajskich; wieczorem znów śpiewał przy organkach, na których dość fałszywie, jak na kobietę przystało, grała święta Cecylja, dyplomowana nauczycielka chórów anielskich.

Skrzydła złożył starannie, aby się nie pomięły, zdmuchnął najbliższą gwiazdę, by go nie raziła w oczy migającym, niespokojnem światłem i trwał w zadumie.

Leżał na białej miękkiej chmurze, jak na okwieconej mleczami łące i chwiało się lekko razem z nią.

W niebie zaczęto dzwonić na Anioł Pański, albowiem chmury zaróżowiły się zlekka.

Jakiś święty staruszek wyszedł przed bramę, wyciągnął przed, siebie rękę i przez chwilę ją tak trzymał.

— Będzie pogoda, — mruknął potem zadowolony i powlókł się powoli na nieszpory.

W oddali jakieś ziemskie morze poczęło ociekać krwią; słońce syknęło z bólu, dotknąwszy zimnej wody brzegiem rozpalonego do białości kręgu. Po falach spłynęło słoneczne złoto, wody stały się spokojne, jakby zachwycone i oniemiały z podziwu. Z ziemi podniosły się mgły, chwilę błąkały się ponad obszarem ślepnących stawów, które w dzień patrzą w niebo, jak rozszerzone nadmiernem zdziwieniem oczy i nad polami, które się przeciągały leniwie przed snem; potem po krótkiej naradzie, rozpełzły się po sadach i pochowały w gałęziach drzew.

Zadumany Anioł przyklęknął na chmurze, rękę podniósł do oczu i długo wpatrywał się w tumany włóczących się mgieł. Potem cicho i ostrożnie wygładził białe, długie skrzydła zgarnął z czoła gęste, złote pukle, obejrzał się badawczo i zsunął się z chmury.

Zatrzepotały skrzydła, za chwilę lot stał się cichy i wspaniały jak lot orli. Anioł szerokimi, orlemi kręgami krążył nisko nad ziemią i rozpoznawał okolicę. Zmarszczył czoło i wyteżył wzrok, poczem powoli, kołując długo, dotknął stopami ziemi.

Słońce już dawno umarło i pogrzebione jest w morzu.

Drzewa, krzepko zaparłszy się korzeniami, pochyliły korony jakoby pod ciężarem, rozwarły konary jak ramiona i dźwigały na sobie mrok, który się na nie walił głazem. Brzozy, stojące samotnie, oglądały się zatrwożone i bezbronne.

Anioł stąpał cicho, patrząc dokoła siebie badawczo i tak doszedł aż do miejsca, w którym na skraju lasu stała samotna chata. Przez brudne szyby okienek przeciekało światło, senne i leniwe.

Serce w nim zaczęło tłuc się niespokojnie; wstrzymał oddech w piersi i począł stąpać na palcach. Przelazł płot i zbliżył się do okna. Rozejrzał się, czy go kto nie śledzi, potem, cichutko podszedłszy, zajrzał w głąb chaty.

Jakiś ptak krzyknął przez sen.

Anioł przestraszony przytulił się do ściany i chwilę tak stał nieruchomy.

Zajrzał znów, lekko uderzył palcami o szybę i czekał.

Od czasu do czasu przebiegł po nim zimny dreszcz nocnego chłodu; biedny Anioł otulił się w skrzydła i drżał na zimnie. Na końcach skrzydeł pozostały zielone ślady zroszonej trawy, pióra przemokły wilgocią nocy, ręce miał aż sine.

Skrzypnęły drzwi.

Anioł przywarł całym ciałem do ściany i z lękiem spoglądał w czarną jamę wejścia do chaty. Na progu stanęła dziewczyna, wychyliła głowę i patrzyła w ciemność.

Anioł zaszeleścił cichutko skrzydłami; spojrzała w tę stronę i dojrzała świecącą w ciemności plamę.

— To ja... — szepnął biedny Anioł.

Dziewczyna podniosła palec do ust, nakazując mu milczenie.

— Cicho! ojciec usłyszysz...

Stanęła przy nim i razem poszli w stronę sadu; sad się aż zanosił od woni; znużone upałem kwiaty, marnowały cudne zapachy.

Anioł włókł długie skrzydła po ziemi i zgarniał niemi rosę.

Przystanęli pod jabłonią i trwożliwie obejrzel się poza siebie.

Dziewczyna miała (rzecz prosta), prześliczne czarne oczy i usta, piękniejsze niż piękne; pod grubą koszulą rysowały się cudnego kształtu piersi; ręce miała zato czerwone, popękane i brudne.

Anioł patrzył na nią z bezmierną miłością.

Potem przytulił się do jej brudnych, popękanych rąk.

— Czemuś wczoraj nie przyszedł? Byłam sama, ojciec z bratem rozbijali w lesie, — rzekła cicho anielska dziewczyna.

Anioł westchnął.

— Tego powiedzieć ci nie mogę, dziewczyno z pod lasu. Tego mi powiedzieć nie wolno.

— Jak nie, to nie...

— Wiesz tylko, że nie stąd jestem i że cię tak miłuję, jak cię nikt na świecie miłować nie może.

Ujął jej czerwoną rękę swoją, przeświecającą jak płat kwiatu i tak trwali...

Wonie sadu zaczęły ich powoli okrążyć i oplatać jak węże, cicho i bez szelestu. W głowach czuli zawrót. Gdzieś na skraju lasu krzyknął puhacz, więc nagle przywarli do siebie.

Anioł otoczył ją skrzydłami i zamglonym wzrokiem wpatrywał się przez ciemność w jej oczy, tak czarne jak ciemność.

— Miłujesz mnie? — szepnął w upojeniu.

— Na śmierć...

I wpili się ustami w usta w pocałunku, który jest jak obłęd i który jest jak nieskończoność.

Potem było słyhać tylko westchnienia, ogromnie ciche, jakby zmęczone bardzo.

Kwiaty poczęły padać z jabłoni i rosa.

Świt przecierał oczy i jakby na palcach się podniósłszy, przezierał ponad las przez siną szparę w chmurach.

Zbudził się jakiś ptak i poznał Anioła.

— Aanioł!... Aanioł!...

Po sadzie poszedł szmer, że Anioł jest pod jabłonią.

— Odejść muszę, — szepnął Anioł — dzień się rodzi i ludzie zaraz wyjdą na gościńce.

— Uważaj na psy i na polowego strażnika, który się po skraju lasu włóczy.

Anioł spojrzał raz jeszcze w oczy dziewczęce i odszedł powoli, wciąż się oglądając.

— Aanioł!... Aanioł... — wołały za nim ptaki.

Jakiś kos gwizdnął przeciągle, a wróble zanosiły się od śmiechu.

Wstawał dzień z ropą snu w oczach, które mrużyły się, nie mogąc jeszcze prosto patrzeć w słońce. Las ziewnął przeciągle.

Anioł przelazł chyłkiem przez płoty, spojrzał z litością na końce zroszonych skrzydeł i wyszedł na drogę, złotą od pyłu. Wyciągnął rękę przed siebie, ażeby zbadać kierunek wiatru, obrócił się bladą twarzą ku zachodowi, rozpędził się kilkoma krokami i odbił się silnie od ziemi. Bił szybko skrzydłami powietrze i podniósł się ku górze. A wtedy, na widok olbrzymiego ptaka, zerwało się z łąk

wrzeszczące stado wron i poleciało w pogoń za nieszczęsnym Aniołem.

Dopadły go po chwili i okrążyły, jak uradowany tłum okrąży na rynku pstro odzianego człowieka. Podniósł się opętany wrzask. Wronie stado przecięło mu drogę, biło w niego dziobami, czyniąc za każdym razem krzyk jeszcze większy, ile razy udało się wyrwać Aniołowi pióro ze skrzydeł, albo zakrwawić mu piersi.

Anioł szarpnął się niespokojnie i podniósł się nieco wyżej.

Wronia tłuszcza, zagrzewając w sobie krzykiem odwagę, pomknęła za nim.

Anioł począł szybko uderzać skrzydłami, broniąc się rozpaczliwie; od czasu do czasu syknął z bólu i opadał wciąż niżej. W powietrzu, w pełnym już słonecznym blasku, kłębił się ogromny tuman; pierze, chwiejąc się, leciało z wiatrem na łąki. Wrzeszcząca hałastrza krzyczała w niebogłose, upojona zwycięstwem.

Anioł z szeroko rozwartymi oczyma, pokrwawiony i zmęczony, bił coraz słabiej skrzydłami powietrze. Opodał chaty pod lasem, w której okna pukał niedawno, dojrzał stóg siana. Rozpaczliwym ruchem rzucił się w powietrzu w tę stronę, dopadł stogu i skrył się pod jego strzechą.

Miał w oczach dwie wielkie łzy; skuliwszy się patrzył, co się dzieje z gromadą wron.

Wrony krążyły nad stogiem, krzycząc przeraźliwie i drwiąco.

Biedny Anioł przymknął oczy, rozchylił usta i odpoczywał, ciężko dysząc; po twarzy spływała mu krew, a ręce drżały ze wzruszenia. Oddech stawał się bezsilny, wreszcie Anioł skłonił głowę na piersi, westchnął głęboko i zasnął, jak zmęczone dziecko. Coś przez sen mówił, czasem się zrywał i prężył skrzydła, zanim go ujął sen głęboki i silny.

A dziewczyna z czarnymi oczyma, ujrawszy walkę Anioła z ptasią hałastrą, patrzyła wciąż w górę. Potem, kiedy Anioł usnął pod strzechą stogu, szybko pobiegła do chaty. Za chwilę wyszedł z niej rudy zbój, piegowaty i przecierał oczy. W rękach miał widły, a drugi za nim szedł młody, potworny zwierz z rozwichrzoną czupryną, ze sznurem w rękach.

— Widzę go, śpi... — szepnęła dziewczyna.

— Cicho, żeby nie uciekł...

Wszyscy troje podeszli do stogu.

— Jest?

— Jest, — chrapie.

Rudy zbój przystawił ostrożnie drabinę: skradał się powoli, jak kot, na szczyt stogu; w ręce miał postronek.

— Gdyby chciał uciekać, pchnij go widłami.

— Nie ucieknie!

Zbój stanął na ostatnim szczeblu drabiny; osadził się silnie, zaparł oddech w piersi, wsunął głowę pod strzechę i nagle chwycił rękoma oba skrzydła anielskie.

— Jezu! — krzyknął Anioł.

— Jest! — darł się zbój.

— Trzymaj go mocno... silny jest! — krzyczała z dołu dziewczyna z czarnymi oczyma.

Po chwili ściągnął rudy zbój nieszczęsnego Anioła na ziemię; omdlały, śmiertelnie blady, słał się Anioł na nogach. Sznurem związano mu ręce i skrzydła; rudy zbój trącił go pięścią w plecy.

— Nie jęcz!

Anioł zachwiał się i upadł na twarz; powlekli go w stronę chaty i uwiązali do płotu.

Anioł stał oniemiały z rozszerzonymi oczyma; serce się w nim tłukło jak u ranionego ptaka. Zbóje stanęli przed nim.

— Ładny jest! — krzyknął rudy.

— Skrzydła ma ładne, — mówiła dziewczyna z czarnymi oczyma.

Anioł rozszerzył oczy jeszcze bardziej i zapłakał, patrząc na jej złe, czarne oczy, które po raz pierwszy widział w słońcu.

Słońce parzyło go strasznie; krople potu mieszały się ze łzami i spływały po twarzy, bledszej od najbledszego płatka róży.

Potem zmartwiał i pochylił głowę, od czasu do czasu tylko niespokojnie rzucił na nich oczyma, czekając nato, co uczynią.

— Będiesz tu tak stał do zachodu słońca, — rzekł zbój rudy, zaśmiał mu się w twarz i poszedł ku chacie.

— Nie bój się, nic ci się złego nie stanie, — zaśmiała się dziewczyna i wszyscy odeszli.

Anioł patrzył za nimi nieruchomemi, załzawionymi oczyma, potem nieśmiało podniósł je ku niebu.

Nikt go stamtąd nie dojrzał; białe chmury wałęsały się bez celu, omijając się wzajemnie.

Słoneczny żar leciał z góry i prażył wszystko; ziemia oddychała z trudnością, jak człowiek bardzo chory, drzewa beznadziejnie zwiesiły gałęzie, jak bezradnie opuszczone ramiona. Staw szklął się, jak zaszła bielmem źrenica; po dalekim gościńcu wędrowało słońce, zostawiając złote ślady na puszystym pyle.

Piersiami flnioła wstrząsnął nagły dreszcz; szarpnął się i jęknął; sznur wpił mu

się w skrzydła i w ręce. Opuścił biedną głowę i cicho łkał...

Kiedy się słońce miało ku zachodowi, wyszli zbóje z chaty.

W nim się zerwało serce, jak spłoszony gołąb do ucieczki się zrywa i zaczęło uderzać niespokojnie; wodził obłąkanemi z trwogi oczyma i szarpał się w więzach.

Rudy zbój podszedł ku niemu, spojrzał na niego z pogardą i począł go odwiązywać od płotu. Potem pochwycili.....

RAJSKA OPOWIEŚĆ

Działo się dnia onego, w którym dobry Bóg sfuszerował doskonale ułożony repertuar stworzenia, stworzywszy niewiastę. Nieszczęściem dnia tego było klęską, że Stwórca nie mógł zapytać o zdanie nikogo starszego. Trudno! I genjusze i bogowie mają swoje chwile słabości, których się potem wstydzą, kiedy im fachowa krytyka wykaże niekonsekwencje w dziele.

Zainteresowanie w raju było ogromne; Anioły i zwierzęta rajske widziały, zaglądając ciekawie przez gęstwinę krzewów, że dobry Bóg coś wyprawia. Cały dzień siedział nad błotem rzeki i coś z niego lepił. Wciąż coś przerabiał i poprawiał i wciąż się coś nie udawało.

Aż wreszcie ulepił figurę niekształtną, niezgrabną i do niczego nie podobną: podniósł ją i oparł o dwa patyki, aby wyschła na słońcu. Umył potem starannie dobrotliwe ręce i natarł je liściem z pomarańczowego drzewa, aby zagłuszyć niemiłą woń rzeczno-błotną.

Kobieta wyszczerzyła gębę ku słońcu i parowała.

Zaledwie dobry Bóg wszedł na czekający na niego obłok i uniósł się powoli w górę, ze wszystkich stron raju zaczęły się schodzić rajske bydlęta, nawołując się wzajemnie.

Przyczłapał stary konieser, krokodyl, wywiesił język z gorąca i zmrużywszy figlarnie jedno oko, drugim oglądał nowe stworzenie z miną idjotycznie złośliwą.

Z krzykiem i piskiem zbiegło się całe stado małych, mniej lub więcej obrosłych. Z trwogą podłaziły ciekawie ku kobiecie, oglądając ją ze wszystkich stron.

Dysząc ciężko wynurzył się z rajskej rzeki nosorożec i prychając, jak ktoś, kto nieużywa chustki do nosa, przywłókł się blisko, stanął przed niewiastą, i zadarł nos w górę. Tabetycznym krokiem przybiegła żyrafa, w ślad za nią przygnał wielbłąd, który się w tym czasie kochał w niej beznadziejnie.

Przyszedł uroczyście lew, jak jaki radca na komisję, przyszedł zaraz za nim lis, jak gazeciarski reporter, potem wilki i niedźwiedzie.

Zleciała się czereda ptactwa, jak kobiety na wystawę obrazów. Hałas był nie do opisania.

Uciszyło się na chwilę; wśród kłębow dymu i siarki siedł rajski okaz, bardzo miły smok, pochmurny i zły; od czasu do czasu przystawał w drodze i tłukł ogonem o drzewa. Natychmiast zrobiło się miejsce w tłumie, tak, że smok, jak jaki ekscelecja, mógł podejść bardzo blisko. Stanął i rozglądał się. W stronie

olbrzymiego ogona było bardzo wiele pustego miejsca.

Smok rozglądał się w otoczeniu i skinął głową na pierwsze bydlę z brzegu. Podbiegła wielkimi krokami żyrafa.

— O cóż to właściwie chodzi? — prychnął smok.

Żyrafa skrzywiła wesoło głowę.

— Kwestja kobieca...

Małpy podlażyły blisko, aby słyszeć rozmowę.

— To ona?...

— Ona.

Smok oglądał z zajęciem zlepek z błota.

— No, no...

— Cha! cha! cha! — wrzasnęły małpy bez racjonalnego powodu i rozbiegły się na wszystkie strony.

Smok spojrzał z pogardą.

— Zwarjowały?

— One tak zawsze, szlachetny panie. Małpy to jest głupia publiczność.

W tej chwili podlażył krokodyl.

— Nie bardzo piękne bydlę jest ta kobieta...

Smok spojrzał na niego niechętnie, potem zaczął do żyrafy.

— Kto to taki?

— Ten? Nie warto mówić — krokodyl, prawdę rzekłszy, idjota.

— Uważałem, — rzekł smok, potem z trudem chciał się obrócić na ogonie, kiedy nagle potworny wrzask podniósł się opodal.

— Co się tam stało?

Podbiegł lis i zawył w górę, w stronę smoczego ucha.

— Młody słoń się upił, wpadł w tłum i szaleje.

— Który słoń?

— Ten, szlachetny panie, któremu onegdaj wybiłeś jeden kieł ogonem.

— To bydlę?

— To samo.

Młody słoń, ogromnie sympatyczny, choć beznadziejnie głupi, w istocie szalał. Połamał nogi strusiowi, tak sobie po drodze, potem wyrwał z korzeniem daktylową palmę dla zabicia czasu i kilku jakich niewinnych bydląt. Ryczał przytem, jakby w żołądku miał cierń. W tłumie zapanowała konsternacja. Jeden smok był nieruchomy. Małpy podniosły wrzask, ptactwo urządziło piekielny chór. A słoń szedł prosto ku kobiecie z widocznym zamiarem rozwalenia na drzazgi bożej budowy.

Słoń miał w małych oczach pijacką fantazję. Zawinał trąbą i z całą satysfakcją podniósł w górę daktylową palmę.

Smok prysnął ogniem i zagrzmiał:

— Bydlę!

Słoń się powstrzymał i spojrzał wściekły.

— Sam bydlę!

— Smarkaczu! — ryknął smok.

— Ogoniasta małpo! — zawył słoń.

— Cha! cha! cha! — zaśmiały się małpy.

W tłumie zapanowało zgorszenie.

— Gdyby tak Pan Bóg słyszał — ładna rzecz...

Smok stał rozjuszony i tłukł o ziemię ogonem, słoń ryczał, jakby mu ciotka umarła, i tłukł trąbą.

— Ładne towarzystwo, — rzekł lew.

— Strach! — zawrzeszczała papuga, która miała stosunek z zimorodkiem.

— Uhu... uhu... — jęknął puhacz, ślepy, nie wiedząc dobrze o co idzie.

— Gdzie jest człowiek?

— Śpi.

— Powinien przyjść i zrobić porządek. Słoń jest wielki, ale ma mózg mały.

— Cha! cha! cha! — wrzasnęły małpy, nie mogąc wymyśleć nic nowego.

Wróble podrygiwały ponad całym zebraniem, radując się niepominiem.

Przygotowywała się pierwsza awantura o kobietę, która stała nieporuszona i zwrócona ku słońcu. Słoń.....